

# „No pasarán!”, czyli Wenezuela i sekrety nieudanego zamachu stanu

6 maja 2019

27-letnia Jurubith Rausseo García, kasjerka w supermarkecie, jechała z mężem motocyklem. Wracali z pracy jadąc przez Altamirę, dzielnicę wielkiego biznesu i burżuazji na wschodzie Caracas, bastion wenezuelskiej opozycji znany ze zbrojnych manifestacji antyrządowych, gdy trafiła ją zbłąkana kula, prosto w głowę. Trudno to sobie wyobrazić, ale przyczyny jej śmierci i osierocenia dwójki małych dzieci sięgają XIX w. I to niestety nie była jedyna ofiara próby amerykańskiego zamachu stanu w jej kraju.

Na starym obrazie Clyde'a DeLanda pt. „Narodziny doktryny Monroe” widać piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych i właściwie narodziny imperium. James Monroe kładzie dłoń na zachodniej półkuli naszej planety, by powiedzieć „to nasze”. Już w roku 1823 Amerykanie postanowili, że będą nią administrować zgodnie ze swymi interesami polityczno-gospodarczymi.

Dziś na tę historyczną doktrynę powołuje się rząd prezydenta Donalda Trumpa, na czele z wąsatym Johnem Boltonem, neokonserwatywnym doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego. Doktryna Monroe służy za podkładkę dla idei przejęcia trzech nieposłusznych krajów Ameryki łacińskiej – Kuby, Wenezueli i Nikaragui, którą Bolton nazywa „diabelską trojką”. Zaczęto od Wenezueli, bo dwa pozostałe państwa nie mają ropy.

Jurubith i inni zginęli w imię interesów imperium amerykańskiego, gdyż administracja USA, gorączkowo zajęta organizowaniem zamachu stanu w Caracas, nie widzi różnicy między rokiem 1823 a 2019. To tragikomiczne zaślepienie nie

pozwała jej zrozumieć, że epoka łatwych zamachów stanu, w czasie której nabrała wielkiego doświadczenia w tej mierze, minęła. W Pentagonie, który wcale nie pała entuzjazmem na myśl o interwencji w Wenezueli, zwrócono uwagę, że rosyjskie satelity szpiegowskie pozmieniały trajektorie, by obserwować amerykańskie bazy morskie i okręty, które mogłyby wziąć udział w inwazji. Do tego okazało się, że zamach stanu w kraju, który przestał wierzyć w fatalizm amerykańskiej „opieki”, i gdzie rząd cieszy się szerokim poparciem społecznym, jest skazany na zawstydzającą porażkę. Wszystko poszło nie tak.

## Lawina na „Twitterze”

30 kwietnia był nerwowy zarówno w Caracas, jak i w Waszyngtonie, gdzie główne figury rządu – Bolton, Abrams, Pence, Pompeo i sam Trump, wraz z kilkoma Wenezuelczykami – jeszcze przed świtem założyli coś w rodzaju sztabu kryzysowego, by pisać tweety i wychodzić od czasu do czasu do dziennikarzy z informacjami, z których z godziny na godzinę schodziło powietrze.

Część amerykańskiej prasy uznała, że pierwszym sygnałem wydarzeń był wpis na „Twitterze” opozycjonisty Juana Guaido, którego 23 stycznia wiceprezydent USA Mike Pence mianował przez telefon „prezydentem” Wenezueli. W rzeczywistości pierwszym wpisem na ten temat była informacja Alberto Federico Ravella, „dyrektora prezydenckiej komunikacji” zamieszkałego w kolumbijskiej Bogocie, który na tę okazję pojechał do Waszyngtonu. To on wyprzedził swego „prezydenta” Guaido pisząc, że „prezydent” i szef jego skrajnie prawicowej partii Wola Ludu Leopoldo Lopez razem z grupą żołnierzy „przejęli kontrolę bazy lotniczej La Carlota [położonej obok Altamiry]” oraz, że chodzi o „decydującą fazę trwającego zamachu stanu”.

O tym wpisie należało zapomnieć, gdyż widocznie zdenerwowany John Bolton wyszedł do dziennikarzy, żeby wyjaśnić, że w żadnym wypadku nie chodzi o zamach stanu. Tłumaczył, że Guaido

jest przecież, jako „prezydent”, zwierzchnikiem sił zbrojnych Wenezueli, więc o zamachu nie może być mowy. CBS, Reuters i CNN wybrały w tej sytuacji słowo „powstanie”, NPR i „New York Times” „protesty”, „Yahoo News” nazwało zdarzenia „ryzykownym wyzwaniem” a „Miami Herald” „buntem wojskowym” radząc dla pewności, że ten „bunt” można nazwać „na różne sposoby, ale nie nazywajcie tego zamachem stanu”. Mimowolny komizm tych przekazów nikomu nie przeszkadzał, ponieważ oficjalnie, według Boltona, „naród wenezuelski pragnie zapewnić sobie wolność”. Zresztą to on był autorem naprawdę ciekawych tweetów.

## Hej, obudźcie się!

„Godzina wybiła!”- pierwsze słowa pierwszej informacji „prezydenta” Guaido, jeszcze zanim wezwał do obalenia prezydenta Nicolasa Maduro, zostały powtórzone po angielsku przez Boltona w jego pierwszym tweecie adresowanym do konkretnych osób, co jednak wywołało marszczenie czoł u niektórych dziennikarzy. U Boltona „godzina wybiła” dla trzech mężczyzn: ministra obrony Vladimira Padrino, szefa gwardii prezydenckiej Ivana Hernandeza i przewodniczącego Sądu Najwyższego Maikela Moreno. „To wasza ostatnia szansa” – alarmował Bolton i – rzecz niespotykana – powtórzył to ostrzeżenie potem jeszcze dwa razy, jakby chciał ich obudzić. W tym czasie Guaido powtarzał za Ravellą, że jest w bazie La Carlota, choć stał zziębnięty na zjeździe z autostrady w kierunku Altamiry, o dobry kilometr od tego, co miał „przejąć”. W miarę czasu 30-osobowa grupa żołnierzy oddalała się od zaczynającej panikować pary Guaido-Lopez.

Sekretarz stanu Mike Pompeo, ten, który w kwietniu przyznał publicznie, że kiedy stał na czele CIA, agencja „kłamała, oszukiwała i kradła”, informował z poważną miną, że Maduro ucieka już na Kubę i wszystko idzie świetnie, a dziennikarz Bloomberg’a Andrew Rosati nadawał, że szykujący się już w tym czasie do ucieczki Leopoldo Lopez przekazał mu, jak i innym mediom, że Stany Zjednoczone powinny oficjalnie przejąć rządy

w Wenezueli po upadku Maduro. Godziny nadchodziły i odchodziły, a wzywani przez Boltona wysocy funkcjonariusze państwa wenezuelskiego po kolei przesyłali mu elektroniczne faki pisząc o „zamachu stanu”, który odrzucają, więc za wyjaśnienia zabrał się w Waszyngtonie „niezastąpiony” Elliott Abrams. Powtórzył on za Boltonem, że od trzech miesięcy trwały w Caracas negocjacje Guaido z przedstawicielami socjalistycznego rządu i dodał, że jak się właśnie okazało, „nie dotrzymali oni swoich zobowiązań”... Inaczej mówiąc mleko się rozlało. Lopez poprosił najpierw o azyl w ambasadzie Chile, lecz nie spodobały mu się tam warunki mieszkaniowe, przeniósł się po dwóch godzinach do ambasady Hiszpanii. 25 żołnierzy zgłosiło się do ambasady brazylijskiej, a Guaido wrócił do domu, by jeszcze potweetować wezwania do demonstracji.

## Rozmowy tajne przez poufne

Wezwania Guaido doprowadziły do dwudniowych zamieszek w Altamirze, w których zginęły cztery osoby, potem do „wielkich manifestacji pod wszystkimi koszarami wojskowymi”, by nakłonić wojsko do obalenia rządu. Rzeczywiście, pod kilkoma pojawiły się jakieś pikiety, ale to już jakby nie interesowało wielkiej prasy, zajętej jeszcze rozgryzaniem, co się właściwie stało. Według różnych źródeł, negocjacje rządu wenezuelskiego z Guaido przebiegały z początku bardzo opornie. Wenezuelczycy traktowali go po prostu jako przedstawiciela imperium amerykańskiego a on, pewien poparcia Waszyngtonu, upierał się przy dyktowaniu swoich warunków i niczym Trump straszył „wszystkimi opcjami”. Wobec tej blokady rząd zmienił strategię: zaczął mu potakiwać. Guaido wówczas (w marcu) też zmienił linię – dzielił skórę na niedźwiedziu „rozdając” wysokie stanowiska w nowym hipotetycznym rządzie tym, którzy je zajmują w obecnym, tyle, że Maduro miał zniknąć.

Wszystko zostało ładnie rozpisane, wszyscy poklepalili się po plecach i rozeszli, z tą różnicą, że Guaido, Lopez i

Waszyngton naprawdę uwierzyli w perspektywę udanego zamachu stanu. Odrzucili nawet ofertę Erika Prince'a, założyciela niesławnej pamięci Blackwater, prywatnej armii najemników, który proponował wysłanie pięciu tysięcy swoich zabijaków do Caracas, by wywołać „dynamiczne wydarzenie”. Padają dziś najrozmaitsze usprawiedliwienia, dlaczego się nie udało: że złośliwi Kubańczycy przeszkodzili, że Rosjanie, że było za wcześnie albo za późno, że „zawiodła koordynacja” bądź też nawet (ze strony Demokratów), że potencjał intelektualny rządu Trumpa „jest znikomy”, podając za przykład wąsatego Boltona lub Abramsa. Do tej pory nikt jeszcze nie odkrył, że Wenezuelczycy na ogół nie cierpią jankeskich gringos i ich groteskowej pychy. 1 Maja ludzie na ulicach Caracas skandowali „No pasaran!”. A wojsko? Spójrzcie tutaj.

## Inwazja, czy nie?

Po porażce zamachu Bolton, Abrams i Pompeo tym mocniej potrząsają dzidami, ale mają problem z Trumpem: nie może on zdecydować, czy interwencja wojskowa w celu przejęcia wenezuelskiej ropy będzie korzystna wyborczo, czy też nie. Mimo zarządzania różnych zebrań w Pentagonie, zdaje się przeczuwać, że jednak nie, a przecież na niczym mu teraz tak nie zależy, jak na drugiej kadencji. Amerykanie z pewnością przełkną swoją kompromitację i dalej będą dusić Wenezuelę z całą mocą (na dwa przed zamachem wprowadzili „totalne” embargo na tamtejszą ropę), w oczekiwaniu na odwrócenie się ludzi od Maduro i socjalizmu.

To oczywiście możliwe. Kraj przeżywa bardzo trudne chwile i wezwania Maduro o „stalowe nerwy” narodu mogą kiedyś nie wypalić. Na razie jednak solidarność Wenezuelczyków się sprawdza i robią, co mogą, by przeżyć imperialne naciski wiążąc się z tymi, którym Ameryka nie imponuje. Europa wychodzi z tej sytuacji dość żałośnie, bo zgodnie z amerykańskim życzeniem wiele jej państw uznało Guaido za „prezydenta” licząc, że Trump w zamian pozwoli jej handlować

choć trochę z Iranem.

Już w lutym okazało się, że Amerykanie, choć wcześniej rysowali taką perspektywę, nie mają zamiaru się na to zgodzić. Polityka prowadzona na korzyść Izraela jest po prostu wielokrotnie bardziej opłacalna wyborczo, niż proeuropejska. Niemcy, Francja, Wielka Brytania były więc gotowe uznać doktrynę Monroe, by w końcu zostać z pustymi rękami. A los rodziny Jurubith? W takich sprawach, jak polityka imperium, nie mógł się liczyć.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: [Strajk.eu](http://Strajk.eu)